

Ziemowit Skibiński

Wspomnienie o Profesorze Janie Wegnerze.

Historia regionalna od dzieciństwa miała dla mnie urok i wartość, bo stanowiła część historii ojczystej i powszechnej. Dlatego zainteresowany byłem nią od dawna. Jeszcze jako uczeń, tropiąc przeszłość regionalną w prasie, naturalną siłą rzeczy spotykałem nazwisko Jana Wegnera. Oczywiście, młodzieńczym pragnieniem było osobiste poznanie tego człowieka, no, ale dla ucznia pokonanie odległości z Poddębic do Nieborowa w ówczesnych warunkach było niemożliwością. Nazwisko Wegnera łączyłem bardziej z Nieborowem niż samym Łowiczem. Potem, gdy losy życiowe rzucił) mnie w okolice Łowicza, żałowałem, że do tej pory nie znam bohatera poematu „Niobe” Gałczyńskiego. Wprawdzie po latach wątpliwy to bohater, skoro Gałczyński wkłada mu w usta socrealistyczne bzdety. Ale bohater pozostaje bohaterem.

Kiedyś, bodaj to było w początku lat siedemdziesiątych, jechałem pociągiem do Warszawy. Moją uwagę przykuło dwóch starszych panów siedzących nieopodal mnie. Jeden z nich, postać znana mi z widzenia w Łowiczu, zwracał się do kolegi "per Jasiu", potem zapytał się: *Czy często Jasiu jeździsz do stolicy na wykłady?* Domyśliłem się, że ten pan, siedzący naprzeciw mnie po przekątnej, to jest profesor Jan Wegner. Wkrótce nadarzyła się okazja osobistego poznania Profesora.

W listopadzie 1977 r. poszedłem do biblioteki miejskiej na imprezę poświęconą niedawno zmarłemu, łowickiemu bibliofilowi, Zygmuntowi Pągowskiemu. Uderzyła mnie wówczas wielka liczba uczestników spotkania. Niedzielne przedpołudnie, pora przygotowali do świątecznego obiadu, a tu ciżba ludzi. Po spotkaniu zwróciłem do pani Owczarek (obecnej Cichowskiej) z zapytaniem, czy na sali obecny był profesor Wegner. - *Za chwilę cię poznam* - powiedziała.

Moment, kiedy rozmawiamy ze sobą w płaszczach w gabinecie pani dyrektor biblioteki, jest uwieczniony na fotografii. Poza konwencjonalnymi słowami nie padło żadne słowo godne liter w kamieniu. Pamiętam z tego spotkania, że do Jana Wegnera zwróciłem per "Panie Profesorze". Zareagował natychmiast: - *Nie jestem profesorem*. Tak zostało owo nieszczęsne "panie docencie". Muszę nadmienić, że do najbliższych, opowiadając o spotkaniach z Profesorem, zawsze mówiłem: "profesor Wegner" bądź "pan Wegner". Uważałem, że dzieje się krzywda Janowi Wegnerowi. Przecież autorzy jednej książki

zostawali profesorami (dziś się dzieje podobnie), a tu taki dorobek i nieszczęsny tytuł docenta. Miałem uraz do tego tytułu po marcu 1968, gdy namnożyło się tych volksdozentów.

Z Profesorem spotykaliśmy się przy różnych okazjach. Intrygowało mnie zwłaszcza Jego spotkanie z Witkacym, o którym Profesor kiedyś opowiedział w swoim domu. W czasie tej gawędy co rusz rzucałem okiem na portret roboty Witkacego. Dziwnie pamięć pracuje, gdyż wszystkie szczegóły wizyty Jana Wegnera u Witkacego doskonale zapamiętałem.

Latem 1929 roku dwudziestoletni student historii Uniwersytetu Warszawskiego, Jan Wegner wybrał się do Zakopanego. Nie tyle interesowały Go same góry, co stolica artystyczna Polski. Żyły wówczas jeszcze pogłosy Młodej Polski i obarczony mitem świetnej przeszłości Zakopanego, trafił pod Giewont. W rejonie Krupówek zapytał się kogoś o artystę żyjącego i tworzącego w Zakopanem. Ów ktoś powiedział: - *Stanisław Witkiewicz*. Młody Wegner na to: - *Przecież nie żyje od lat*. A ów ktoś: - *Nie o ojca chodzi, lecz o syna, Stanisława Ignacego, który mieszka na Antałówce*.

Poszedł pod wskazany adres. Dzwoni czy puka. W końcu otwiera drzwi starsza pani. Wegner pyta się o pana Witkiewicza, o którego twórczości plastycznej ani też dramaturgicznej dotychczas nie słyszał. - *Chwileczką* - odpowiada starsza pani - *muszę sprawdzić, czy można wchodzić do syna*. Robi kilka kroków w głąb mieszkania, patrzy na znaki wywieszane na pracowni Witkacego i oznajmia, że można. Wchodzi Wegner do pracowni mistrza, przedstawia się, mówi, że interesuje się sztuką, jest w Zakopanem i chciałby poznać jedną z pracowni malarskich.

Witkacy, rosły i barczysty mężczyzna, patrzy trochę spode łba i trochę nie dowierzając intruzowi, mówi bardzo uprzejmie: - *Proszę bardzo*. W dalszym ciągu badawczo przygląda się przybyszowi. W pewnym momencie proponuje miejsce na krześle. Wręcza mu „Regulamin firmy portretowej S. I. Witkiewicz”, zaznaczając, że broszurę należy przeczytać przed seansem portretowym. Kompletnie nieprzygotowany na taki rozwój sytuacji, Wegner zaczął lekturę od końca, czyli od cennika. A tam widnieją ceny nie tylko poza możliwością studenta, ale nawet nauczyciela.

Na portrety firmy SIW mogli sobie pozwolić ludzie zamożni (lekarze, adwokaci, kapitaliści, przy czym z tymi ostatnimi nie miał kontaktu SIW). Podaję dla przykładu ceny. Tak na przykład za typ A, czyli "odpowiedni raczej dla twarzy kobiecych niż męskich" Witkacy liczył sobie 350 zł, natomiast najtańsze portrety kosztowały od 150 zł. Cennik podaje, jak Witkacy szacował klientów. Najwyższe stawki proponował dla osób przypadkowych, najczęściej zamożnych, tzw. typy wylizane. Natomiast licząc się z

zamożnością artystów bądź przyjaciół godzących się na kreację artystyczną, czyli na daleko posuniętą deformację, mimo iż go więcej wysiłku kosztowały, ceny zaniżał.

Z osób portretowanych przez Witkacego znałem raptem tylko trzy (Iwaszkiewicza, Brzękowskiego i właśnie Wegnera) i muszę przyznać, że Witkacy był najlepszym portrecistą XX wieku, dodajmy portrecistą- prorokiem, wybiegał bowiem w przyszłość, to znaczy umiał doskonale przewidzieć, które rysy twarzy wyostają się bądź ulegną deformacji, nawet za pięćdziesiąt lat. Młodym twarzom trudno zainspirować portrecistę, raczej młode ciała są przedmiotem inwencji. Oblicze musi zapracować latami na portret. A że Witkacy w nich nie przebierał, skazany był na portretowanie klientów. Musiało go więc coś w twarzy młodego Wegnera zaintrygować, z pewnością silne niebieskie oczy, zresztą w portrecie bardzo wyeksponowane.

Wracając do seansu. Wegner po przeczytaniu cennika powiedział: - *To ja zrezygnuje.* Witkacy na to: - *Chwileczkę, firmę stać na luksus.* W tej sytuacji Wegner usiadł spokojnie i zaczął się seans. W pewnym momencie Witkacy udał się za kontuar, Wegner zaś usłyszał bulgot nalewanego trunku. Po skończonym portretowaniu Witkacy powiedział: - *Musi pan pójść w Warszawie na ulicę Mazowiecką - tu podał numer domu bądź charakter sklepu - i tam dobiorą panu odpowiednią ramkę i passe-partout.* Portret Wegnera należy według typologii Witkacego do typu B + d, a to jest według regulaminu: "Spotęgowanie charakteru graniczące z pewną karykaturalnością. Głowa większa niż naturalnej wielkości."

Wspomnienia mają to do siebie, że nawiedzają nas ni stąd ni zowąd, dlatego trudno uporządkować mi ten ciąg obrazów związanych z osobą profesora Wegnera. Najważniejszym dla mnie przeżyciem było redagowanie pracy Profesora o Łowickiem w powstaniu styczniowym. Otóż za czasów Polski Ludowej prace łowickiej Stacji Naukowej miały dozwoloną objętość przez cenzurę, raptem 16 stron. W przypadku większej objętości pracy cenzor podpowiedział p. Alinie Owczarek, sekretarzowi Stacji Naukowej, że w konieczności można dwie prace po 16 stron wydać pod wspólną okładką. Tak też było z pracą Profesora.

Jeśli chodzi o samą czynność redagowania, to muszę przyznać, że spotkały mnie same przyjemności. Miałem obawy, czy podołam temu zadaniu, czy moja wiedza jest wystarczająca, by zmierzyć się z wiedzą Profesora. Na moją korzyść przemawiał tylko sentyment do tamtej epoki, jako że powstanie znałem z opowieści syna i córki powstańców. Zresztą za czasów mojego dzieciństwa i młodości stosunkowo żywotna była tradycja powstania styczniowego w opowieściach ludności miejscowej w okolicach Poddębic. Tu jednak było Łowickie i żadnych opowieści dotyczących się tamtej epoki nie słyszałem.

Profesor prosił o rzetelną, wnikliwą lekturę, wychodząc z założenia bardzo słusznego: "Im więcej ludzi wniesie poprawki przed ukazaniem książki, to na pewno książce wyjdzie na dobre". Tę zasadę zapamiętałem i staram się stosować. Nie miałem żadnych kłopotów z tekstem Profesora. Oczywiście, miałem wątpliwości merytoryczne, które natychmiast rozwiewał pan Jan Wegner. Były też uchybienia interpunkcyjne, ale na moje poprawki chętnie przystał Profesor.

Muszę dodać, że nie ze wszystkimi tak układała się współpraca jak z panem Janem Wegnerem. Miałem nieszczęście opracowywać tekst o gminie Zduny pewnego doktora nauk humanistycznych. Arcydzieło chaosu i błędów gramatycznych, składniowych i frazeologicznych. Praca nad tekstem Profesora, w porównaniu z tekstem tegoż doktora, była wręcz przyjemnością, o ile nie odpoczynkiem. Poza tym redaktor, obcując z pracą mądrą i sprawnie napisaną, sam się uczy. Między innymi dowiedziałem trochę o niejakiem Salomonie, powstańcu pochowanym w zbiorowej mogile bohaterów 1863 r. w rodzinnych Poddębicach.

Dobrze mam w pamięci jedną z rozmów z Profesorem na koniec posiedzenia prezydium Stacji Naukowej, do którego zaraz po doktoracie zostałem dokooptowany. Proszę pamiętać, że w owym czasie (lata 1978-1979) ludzi z tytułem doktora w Łowiczu można byki policzyć na palcach jednej ręki. Daruje tu Szanowny Czytelnik, że zajmę Go swoją osobą, by uwydatnić rycerski charakter Jana Wegnera. Otóż, zaraz po doktoracie byłem bezrobotny. To nie może dzisiaj nikogo dziwić, ale Polska Ludowa zapewniała konstytucyjne każdemu obywatelowi pracę. Oczywiście, powody były polityczne. Najgorsze w tym wszystkim było nie bezrobocie, a sytuacja "parszywej owcy", człowieka zaszczutego. Nikt nie mógł mi oficjalnie pomóc, bo tę osobę utożsamiano by z moimi poglądami. Sytuacja bez wyjścia, w końcu pomógł Jerzy Putrament, nie z dobrego serca, ale z czystej gry politycznej: miał jeszcze partię do rozegrania.

Profesor wcześniej mnie prosił, żebym został na chwilę po posiedzeniu. Zaintrygowało mnie to. Profesor wówczas powiedział: - *Proszę mi patrzeć prosto w oczy i mówić bez zmrżenia*. Nawet wymusił na mnie to patrzanie prosto w oczy. I wtedy mnie zapytał: - *Czy Pan nie potrzebuje pomocy?* Trudno, wręcz nie sposób było dać jednoznacznej odpowiedzi. Pod względem materialnym jakoś sobie dawałem radę, wprawdzie drugie dziecko było w drodze, ale skłamałbym, że bieda zaglądała mi w oczy. Z kolei dobrze wiedziałem, że Profesor jest poza układami politycznymi, które mogłyby mi pomóc. Powiedziałem zdecydowanie: Nie. Dzisiaj, po wielu latach - tak domyślam się - że układy towarzyskie były wystarczająco silne, żeby wydobyć mnie z opresji. Wracając do tego epizodu, przypomniałem sobie swoją Matkę, kiedy w dzieciństwie, chcąc mnie sprawdzić, czy jestem

prawdomówny, kasała mi mówić patrząc prosto oczy. Wypróbowana metoda, chociaż znam takiego rudzielca, który, jak świadek naoczny w sądzie, patrząc prosto w oczy. kłamał ile wlezie.

Mam dobrze w pamięci pierwszą wizytę w domu państwa Wegnerów. Małżonka Profesora była przeuroczą kobietą, wcześniej zapewne bardzo urodziwą. Państwo Wegnerowie, mówiąc językiem współczesnej fizyki, stanowili układ komplementarny, czyli doskonale się uzupełniali. On raczej powściągliwy w słowach, gdy chodzi o ocenę człowieka, natomiast pani Wegnerowa zazwyczaj skora do opowiadania atrakcyjnych historyjek z życia towarzyskiego w Nieborowie. Nic dziwnego, że chętnie jej opowieści słuchałem, zwłaszcza, gdy dotyczyły ludzi pióra. I wiele zawdzięczam jej opowieściom, gdy chodzi o moją książkę „Podróże literackie do Arkadii i Nieborowa”.

Kiedyś przypadkowo znalazły się w moich rękach notatki Profesora dotyczące pobytu Gałczyńskiego w Nieborowie i w Łowiczu. Profesor doskonale wiedział, że dane mu było obcować z wybitną osobowością ze świata artystycznego, więc robił notatki na bieżąco. W związku z tym byłem zaskoczony pytaniem Profesora, gdy mnie ni stąd ni zowąd zapytał wprost: - *Nad czym pan pracuje?* Ponieważ nie miałem nic większego na myśli, powiedziałem, że składam wiersze na tomik. Za tym pytaniem poszły następne, dotyczące zaszeregowania gatunkowego wierszy i tak dalej. Pragnę nadmienić, że pan Wegner był ostatnim, który mnie pytał o twórczość literacką, choć od jego śmierci minęło kilka lat. Spotykam wielu znajomych i nikt nie zadaje pytania, nad czym pracuję, o to, co jest zresztą treścią mojego życia. Przykre to, ale prawdziwe.

Wracając do Gałczyńskiego, muszę coś uszczknąć z opowieści Profesora bądź państwa Wegnerów. O Gałczyńskim miałem dość stereotypowe wyobrażenie. Wiedziałem o jego skłonnościach do alkoholu, ale nie wyobrażałem sobie, że mu groził alkoholizm. Jego żona, Natalia, przechodziła z mężem istną drogę krzyżową i wcale tak różowo nie wyglądało małżeństwo Gałczyńskich, jak może wynieść czytelnik wyobrażenie z wierszy autora „Zaczarowanej dorożki”. *To nie było tak. jak pan sobie wyobraża* - powiedział Profesor - *wcale nie "srebrna Natalia", czy "zielony Konstanty"*.

Żona Gałczyńskiego, aby zapobiec alkoholizmowi męża, przykazała w miejscowym sklepie nie sprzedawać mężowi pod żadną postacią alkoholu. Na niewiele to się zdało. Kiedyś sprzedawczyni oświadczyła Profesorowi: - *Proszę pana, gdy ktoś przychodzi do sklepu i zwraca się do pana tymi słowy: „królowo indyjska, najczarowniejsza”, używa tylu wyszukanych słów, to proszę pana, kto na co dzień tak się do mnie zwraca, temu nie mogę odmówić. A efekty były wiadome.*

Któregoś wieczoru przychodzi Gałczyński "pod dobrą datą" do pałacu i oświadcza Profesorowi: - *Umieram*, Profesor znał dobrze kawały poety, zwłaszcza, gdy nic był po dużej ilości alkoholu, mówi w ten sposób: - *No to trzeba sporządzić testament*. Tym sposobem trafił absolutnie w gust poety. - *No to piszemy testament* - powiedział Gałczyński i ułożył się na kanapie. Profesor znakomicie podchwycił tę wyborną sytuację, wziął pióro do ręki mówi: - *Proszę mi dyktować*. Poeta zaczyna dyktować całkiem serio: - *Ja. Konstanty Ildefons, poeta liryczny, w pełni świadom końca swego żywota zapisuje*. Powtórzył to zdanie i nagle urwał się koncept poecie. Koncept się skończył, bo prawdopodobnie nie miał dosłownie nic do zapisania najbliższym.

Często wypytywałem Profesora o szczegóły z życia wybitnych ludzi, gości nieborowskiego pałacu. Nie mogę powstrzymać się od opowieści o znakomitym rzeźbiarzu Ksawerym Dunikowskim. Pamiętam, że gawędą o nim raczył mnie Profesor w swoim domu. gdy patrzyliśmy na obrazy starego mistrza, oczywiście o tematyce nieborowskiej. Dunikowski seplenił, co wywoływało komiczny efekt, zważywszy na późny wiek mistrza. Kiedyś wrócił z pleneru i zagaduje do Profesora: - *Skurcybyk, warcal na mnie. Ja mu pokażę*. Profesor, zdumiony, pyta Mistrza: - *A któż to na pana śmiał warczeć?* Dunikowski wskazał na kamienny posąg lwa przed frontonem pałacu.

Autor głów wawelskich był bohaterem wielu innych, niekończących się opowieści. Dunikowski poszedł w ślady Celliniego i Caravaggia, gdy chodzi nie tylko o artystyczną działalność, a rzemiosło zbrodni. Będąc młodym profesorem, zastrzelił w kawiarni pewnego młodzieńca. Była to zbrodnia w afekcie, która, jakimś cudem, "uszła mu na sucho". Znany był Dunikowski wśród studentów, 2 pilnego strzeżenia tajemnic swojej pracowni rzeźbiarskiej. Wiedział doskonale, że studenci podglądają go przez dziurkę od klucza. Kiedyś mistrz zakradł się i wsunął w dziurkę od klucza rozżarzony drucik od żelazka. Efekt był wiadomy - student stracił oko.

Z tych tragikomicznych, opowieści o Dunikowskim szczególnie zapamiętałem jedną, nieborowską. Wpadło do głowy Mistrzowi wyrzeźbić dzieło „Ukrzyżowanie Św. Piotra”. Wiadomo, że następcą Chrystusa kazał się ukrzyżować odwrotnie niż Jezus, mianowicie głową w dół. Problem był z wybraniem modelu. W końcu znaleziono we wsi jakiegoś przygłupa, on się zgodził, nie wiedząc, jaką cenę za to pozowanie przyjdzie mu zapłacić. Krzyczał wniebogłosy, a Dunikowski na to: - *Cicho, skurcybyku, ja tu świętą zec robię, ty mordę dzes, jakby cię zazynali*. Osobnika zabrano w końcu pogotowie, gdyż powstało niebezpieczeństwo wylewu krwi do mózgu.

Od państwa Wegnerów wyniosłem wiele facycji o ludziach znanych. Pamiętam wspomnienie pani Wegnerowej o pobycie Zofii Nałkowskiej w Nieborowie. Autorka „Medalionów” była tam kilka miesięcy przed śmiercią i - co podkreśliła moja rozmówczyni - nie czuła się najlepiej. Urzekały fiołkowe oczy Nałkowskiej, w nich zachowała blask młodości. Kiedyś obie panie siedziały na piętrze nieborowskiego pałacu. Znakomita pisarka robiła głośne uwagi na temat przechodzących mężczyzn po kątem ich przydatności łóżkowej. Pani Wegnerowa nie używała tego określenia, wiedziała, na czym przyzwoitość polega. Użyła metonimii. Gdy Nałkowska kolejny raz tak skomentowała przechodzących mężczyzn, odezwała się pani Wegnerowa: - *Ależ, pani Zofio, tak nie wypada*. Pisarka mimo to nie przerwała swoich wynurzeń i kontynuowała uwagi na temat sprawności seksualnej osobników płci przeciwnej w związku z ich urodą.

Nie mogę się oprzeć, by nie przekazać jeszcze jednej relacji, tym razem o Marii Dąbrowskiej. Zima 1945 roku. Jest cichy wieczór po przewaleniu się rosyjskiego frontu, pani Wegnerowa słyszy jakieś łomotanie do drzwi. Pyta się: - *Kto tam?* Pada odpowiedź: - *Maria Dąbrowska*. Zaszokowana odpowiedzią, bo takiego gościa się nie spodziewała, gdyż owszem w szkole średniej słyszała o tym nazwisku, ale tu nagle taka niespodzianka. Starła się szybko uprzątnąć niepotrzebne rzeczy, by wybitna pisarka nie czekała zbyt długo na mrozie. Co się okazało. Dąbrowska przyjechała z Warszawy do Łowicza jakimś rosyjskim pociągiem wojskowym. Zmarznięta była pisarka na wskroś, tak więc żadna herbata nie mogła pomóc. Trzeba było sięgnąć po nalewkę Profesora. Pan Wegner, aczkolwiek nie smakował w alkoholach, robił znakomite nalewki. Moje gardło i podniebienie mogą tu poświadczyć za przedniej jakości dereniówkę. Ponieważ pora była późna, Dąbrowska poszła spać, wielce utrudzona podróżą. Rano budzi się przepraszając państwa Wegnerów za niespodziewany "nalot" oraz za opróżnienie karafki do dna, gdyż nalewka jej wybornie smakowała. Krygowała się wielce Dąbrowska, a na zakończenie wizyty pocałowała w rękę Profesora.

Zainteresowania naukowe Profesora obejmowały szereg dziedzin historycznych. Jeszcze przed wojną wydał pracę doktorską o Łowiczu w latach "potopu" Dysertację tę pisał pod kierunkiem znakomitego historyka wojskowości, profesora Wacława Tokarza. Od historii wojskowości przeszedł w dziedzinę historii kultury i sztuki, zajmując się dziejami rezydencji magnackiej w Nieborowie i Arkadii. Niezależnie od tego pisywał prace z historii oświaty, historii historiografii oraz najszerzej pojętej historii regionalnej. W tej dziedzinie pozostał niekwestionowanym autorytetem. Pamiętam, gdy rozważano jakąś kwestię wśród

miejscowych historyków, padło wówczas zasadnicze pytanie: „Czy wie coś na ten temat Profesor?”

Był osobą integrującą miejscowe środowisko historyczne. Nie muszę pisać, jak brak tej postaci w Łowiczu. Boli mnie nieobecność Profesora, ale bardziej nieobecność Jana Wegnera w historiografii. Ukazuje się sporo publikacji na temat Nieborowa i Arkadii, a nazwisko Profesora wymieniane jest tylko drobnym drukiem w bibliografiach. Nie ma już tam informacji, że podstawowy zrąb faktograficzny zawdzięczają ci plagiatorzy wcześniejszym ustaleniom Jana Wegnera. Pojawiają się również, rozprawy na temat mitu arkadyjskiego w poezji, ale brak w nich powołania się na Jego fundamentalną pracę o Arkadii, wydaną w Warszawie w 1948 r. Zauważyłem zresztą pewną prawidłowość, że owo plagiatorstwo szerzy się szczególnie od śmierci Profesora.

Odnotowuję też w pamięci jubileusz 70. urodzin Profesora. Na pomysł uroczystości wpadła Alina Owczarek i ja. Pani Alina „wykombinowała” specjalny druk zaproszenia z ozdobnym inicjałem "W". W dobie komputerów może to kogoś dziwić, ale w owym czasie to było niebywałe przedsięwzięcie. Na pierwszą część uroczystości, odbywającej się w gmachu biblioteki, złożyły się: przemówienie przedstawiciela absolwentów liceum, w którym nauczał Jan Wegner, (nie pamiętam, czy wystąpił ktoś z byłych uczniów kompletów licealnych z Dąbrowy Zduńskiej), następnie ja miałem krótką mowę, po czym przemawiał dyrektor Muzeum Narodowego, prof. Stanisław Lorentz. Podkreślił on, że Nieborów swój obecny, kwitnący stan zawdzięcza tylko Profesorowi.

Przemówienie Lorentza było owacyjnie przyjęte, tym bardziej, że większość zebranych wiedziała na temat nieporozumień między dyrektorem a kustoszem z Nieborowa. Zauważyłem, że wystąpienie, jak i sama obecność prof. S. Lorentza mile zaskoczyły Jana Wegnera. Druga część uroczystości oraz skromna lampka wina pod słońce paluszki odbyła się w gmachu Muzeum Narodowego. Specjalnie podkreśliłem skromność owego przyjęcia, bo w 1979 r. wkraczała Polska w kolejny kryzys, a i gospodarze nie grzeszyli wystawnością. Ważne, że sam Jubilat był niezmiernie zadowolony z całej uroczystości, jak i z samej pamięci o Nim.

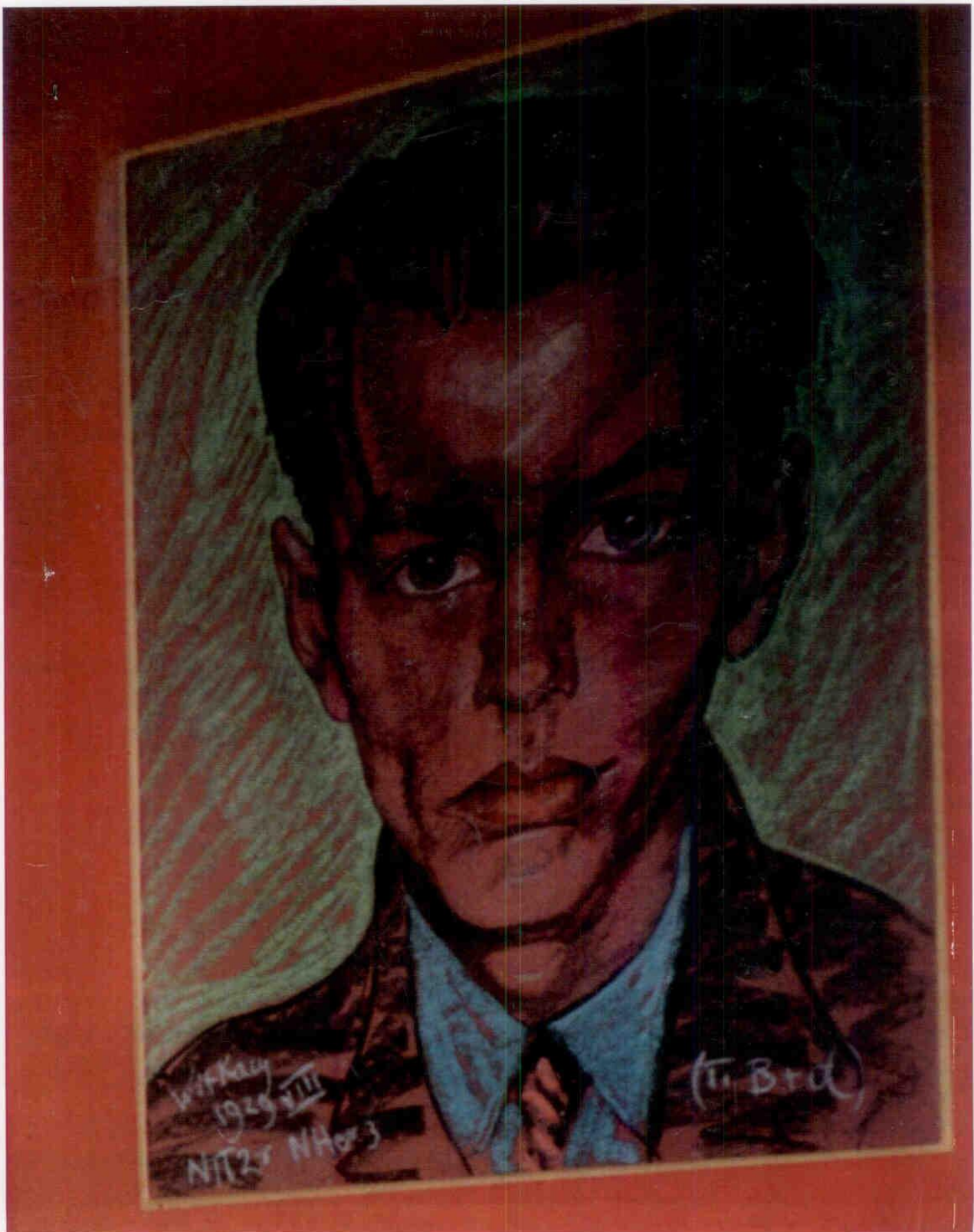
Ostatnie lata życia trudno uznać za udane. Wiedziałem, że Profesor traci wzrok. Kiedyś spotkałem państwa Wegnerów na spacerze. Zauważyłem, że pani Wegnerowa mówi do męża głośno: - To pan Skibiński. Zatrzymałem się na moment i po powitaniu Profesor zaczął mówić o swojej tragedii: że tak liczył na spokojną emeryturę i że wtedy opracuje źródła, które gromadził całe życie. Nie każdemu jest dany los Władysława Tatarkiewicza, który spełnił się jako uczonego. Wysłuchałem narzekań Profesora w zakłopotaniu,

współczując jego tragedii i przypominając jakby na pocieszenie sytuację" argentyńskiego pisarza i erudyty Borgesa, który został dyrektorem biblioteki miejskiej w Buenos Aires, gdy zaczął ślepnąć. Po czasie zdałem sobie sprawę z tak lichego pocieszenia W takich sytuacjach jesteśmy na ogół bezradni i poniekąd lekkomyślni, bo nas owo nieszczęście nie dotyczy. Potem cierpienie dotknęło Go jeszcze bardziej - choroba Alzheimera.

Spotykam raz panią Wegnerową. Zaprasza mnie do siebie, do domu. Wiedziałem wcześniej o chorobie Profesora. Przygotowany jestem na najgorsze, ale obawy za chwilę się rozwiały. Profesor siedzi potulnie w fotelu. Witamy się. Profesor, choć był wówczas ruiną dawnego Wegnera, stara się trzymać fason. Pani Wegnerową kontynuuje opowieść o Nałkowskiej i o wizycie Dąbrowskiej w domu państwa Wegnerów w zamęcie zimy 1945 roku. Profesor w dalszym ciągu jest nieobecny. Dopiero gdy zbieram się do wyjścia. Profesor wstaje i podaje rękę. Pomimo choroby, kultura wyniesiona z domu i ze szkoły daje owoce. Siła nawyków kulturalnych zwycięża wszelkie zło.

To była ostatnia wizyta w domu państwa Wegnerów, potem spotykałem się z panią Wegnerową. Profesor, jak każdy naprawdę wybitny człowiek, należał do ludzi skromnych. Dobrze wiedział, że do doskonałości mu daleko, znał miarę rzeczy, a przede wszystkim to, że mądrość nie jest udziałem jednostek, składa się na nią wysiłek wszystkich pokoleń. Stąd mądrość jest bardziej wymysłem, projekcją idealną człowieka.

Na pogrzebie Profesora - stwierdzam z żalem - nie byłem, jako że miał miejsce w porze wakacyjnej. Czasami, łapię się na tym, że ulegam przywidzeniom wzrokowym. Idę ulicą Zduńską, i kiedy dochodzę do Starego Rynku, spotykam państwa Wegnerów. Pewnie wracają, tak myślę, do domu. Kłaniam się, nie kryjąc zadowolenia z nieoczekiwanego spotkania. Profesor grzecznie odklania się, długo też patrzy mi w oczy, tak jak powinno być przy pozdrowieniu. Państwo Wegnerowie przechodzą, oddalają się w stronę Nowego Rynku. Zatrzymuję się. Oglądam się za siebie. Długo patrzę na bliskie mi sylwetki, państwo Wegnerowie giną w perspektywie ulicy Zduńskiej, mieszają się z innymi sylwetkami, w końcu znikają, a ja smutno konstatuje: - ostatnio wzrok mi się popsuł.



W. Kay
1929 VIII
NITZr NHor3

(T. Brd)